



Mirosław Derecki (M.D.)

EKRAN I WIDZ: IMPRESJE SENTYMENTALNE

Spośród licznych filmów, pokazanych w okresie świątecznym na małym ekranie, szczególną wartością dla miłośników historii kina odznaczały się dwa „dokumenty”: polski - poświęcony Brigitte Bardot, oraz zachodnioniemiecki, zatytułowany „Marlena Dietrich - portret aktorki”. Ten drugi film był nb. nie tylko doskonale zrobiony, ale także idealnie trafiony repertuarowo przez polską TV. Właśnie następnego dnia po jego projekcji przypadała osiemdziesiąta piąta rocznica urodzin wielkiej artystki. Marlena nie wyraziła zgody na przedstawienie jej aktualnych zdjęć: zasłaniała się stwierdzeniem, że nigdy nie godziła się na naruszanie swojej prywatności, a więc nie godzi się na to tym bardziej teraz, kiedy przestała już grać w filmie i także jej twarz stałą się sprawą prywatną. Ale zapewne chodziło aktorce przede wszystkim - i całkiem słusznie! - o pozostanie w pamięci widzów taką, jako jawiła się na ekranie wówczas, gdy jej fascynująca, niepowtarzalna uroda „kobiety fatalnej”, kobiety-wampa, wydawała się nieprzemijająca i niezniszczalna.

W latach trzydziestych niezwykle modny był walc Ivanovici’ego „Na falach Dunaju” ze słowami:

Na ustach karmin, w sercu żal.

Oczy zamglone patrzą w dal.

Niezwykły każdy ruch i gest –

To „X-27” jest.

„X-27” to był tytuł filmu Josefa von Sternberga, nakręconego w 1931 r., z Marleną Dietrich w tytułowej roli, która grała w nim postać luksusowej kobiety-szpiega. Noszącej właśnie kryptonim X-27. Film cieszył się olbrzymim powodzeniem; tym bardziej, że poprzedzony został dwoma słynnymi obrazami Sternberga z Marleną Dietrich: „Niebieski motyl” (1929) i „Maroko” (1930).

Uczęć się na pianinie walca Ivanovici’ego (było to pod koniec okupacji, a ja miałam osiem lat, zaś walc - o męko! - w nutowym zapisie: cztery czy nawet sześć bemoli), dowiedziałem się o istnieniu Marleny Dietrich, kobiety o „zamglonym spojrzeniu”.

Na ekranie zobaczyłem ją tuż po wojnie. W kinie „Lewart” w Lubartowie wyświetlano amerykański film: nakręcony w 1941 r. przez Renè Claire’a „Płomień Nowego Orleanu” z Marleną w głównej roli. A ja siedziałem zaszyty głęboko w najciemniejszym kącie kina, w prawym rogu Sali pod balkonem, bo film był od lat osiemnastu! I Marlina Dietrich była taka właśnie jak w piosence o X-27: przepastne, tajemnicze oczy, mocno rysujące się usta, wspaniała figura. Gdy teraz, podczas świąt, oglądając „Portret aktorki”, zobaczyłem także scenę z „Płomienia Nowego Orleanu”, ujrzałem nagle w pamięci ów film w całości: każdą sekwencję, każde ujęcie. Bo jest to film, który zapamiętałem na całe życie; jeden z tych filmów posiadających swoją „magię” – choć nie zawsze najlepszych artystycznie - dzięki którym można zakochać się w kinie... I dlatego żywię wdzięczność wobec Marleny Dietrich. Również, dlatego, że dzisiaj nie pozwala się fotografować. Że mogła pozostać dla mnie na zawsze „Płomieniem Nowego Orleanu”.

W wigilijny wieczór, w ramach cyklu „Wielcy kochankowie ekranu” pokazano w telewizji film fabularny „Pożegnalny walc”, nakręcony w Hollywood w 1940 r. przez Marvyna Le Roy’a z Vivien Leigh i Robertem Taylorem w rolach głównych. „Pożegnalny walc” (jego oryginalny tytuł brzmi „Waterloo Bridge”) jest filmową adaptacją znanej w latach międzywojennych sztuki teatralnej Roberta E. Sherwooda, ukazującej tragedię młodej tancerki, której ukochany, oficer wywodzący się z arystokratycznej rodziny, zaginął podczas I wojny światowej na froncie, został uznany za zabitego, o ona, nie mając pieniędzy na życie, musiała pójść na ulicę... Po wojnie narzeczony odnajduje się i chce pojąć Myrę za żonę, ale ona, zdając sobie sprawę, jaką hańbą okryłoby nazwisko przyszłego męża małżeństwo z byłą prostytutką, zrozpaczona, rzuca się na londyńskim moście Waterloo pod koła przejeżdżającego ambulansu sanitarnego.

Ten banalny skądinąd melodramat, dotyczący minionej dawno wojny 1914-1918 r., pasował jednak jak ulał amerykańskim producentom z roku 1940 do podjęcia wojennego tematu w związku z toczącą się właśnie w Europie wojna, w której jednak Stany Zjednoczone nie brały jeszcze udziału i jak mogły, starały się podkreślić swoją neutralność. Uaktualniono zatem scenariusz, dopisując do sztuki Sherwooda krótkie sceny - początkową i końcową: postarzały brytyjski oficer, wybierający się jesienią 1939 r. na front, zatrzymuje się na Waterloo Bridge i... tu się zaczyna półtoragodzinna retrospekcja, czyli opowieść o historii jego niespełnionej miłości z lat I wojny światowej; film kończy się wyruszeniem Roya Cronina (Roberta Taylora) w dalszą drogę, do walki z wojskami Hitlera.

Pod względem artystycznym „Pożegnalny walc” jest filmem zupełnie nieznaczącym, zarówno w aktorskiej karierze Vivian Leigh, jak i reżyserskim dorobku Marvina Le Roy’a; biografka Vivian Leigh, pisarka Anne Edwards, w swojej doskonale napisanej książce

„Vivian Leigh. A Biography” (London 1977) poświęca „Pożegnalnemu walcowi” zaledwie kilka zdań. A jednak... film ten posiada swoją specyficzną wymowę, swój niezamierzony punkt odniesienia.

Oto został on nakręcony w niespełna rok po gigantycznym sukcesie ekranowym i artystycznym „Przeminęło z wiatrem” (nawiasem mówiąc, także ukazującym „minioną Wojnę”, Wojnę Secesyjną w Stanach Zjednoczonych) i równie wielkim, sukcesie aktorskim samej Vivian Leigh w roli Scarlett O’Hara. Lecz tamta „superprodukcja”, obraz o szerokim oddechu, był filmem sprzed wojny, filmem czasu pokoju, kiedy mogą powstawać dzieła wybitne i wielkie. „Pożegnalny walc” zawierał już w sobie wszelkie cechy wojennej filmowej „masówki”, choć - powtórzmy - Stany Zjednoczone nie były jeszcze wówczas w stanie wojny ani z Japonią, ani z Niemcami. A jednak piętno wojny, toczącej się na odległych europejskich frontach, już się na nim odcisnęło. I dlatego, choć to film tak słaby, tak mierny, i tak bardzo niegodny wielkiego talentu Vivian Leigh - warto go było obejrzeć, i warto o nim pamiętać.

Pierwodruk: „Kamena”, 1987, nr 2, s. 4-5.